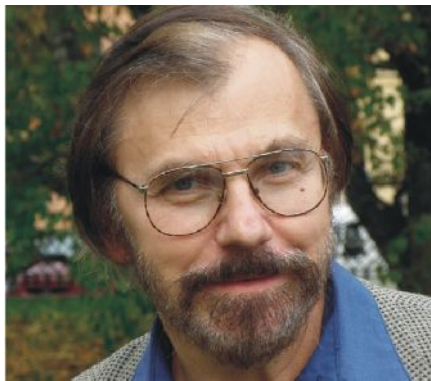


Listy do Pani A. (129)



Ludu zmartwienie

Droga Pani!

Ostatnie tygodnie obfitowały w najrozmaitsze wydarzenia. Najciekawsze ze wszystkich było spotkanie z prof. Januszem Deglerem, który opowiadał o Tadeuszu Różewiczu i o Witkacym. Profesor, jak zwykle ze swadą i dowcipnie, mówił o swoich kontaktach z Różewiczem, o wspólnych spacerach do wrocławskiego Parku Południowego. Były to opowieści niezwykle ciekawe, w których poeta jawił się przede wszystkim jako człowiek. Takie było bowiem założenie tej prelekcji: przybliżenie żywej postaci, nie zaś „pomnikowej” sylwetki artysty, czy kolejne udowodnienie, że Różewicz „wielkim poetą był”.

Wspominał Janusz Degler pierwsze swoje spotkanie z wierszem Różewicza. Był to utwór „Ocalony”. Miało to miejsce jeszcze przed osobistym poznaniem poety. Profesor Degler poznał poetę w październiku 1969 roku na Festiwalu Teatrów Studenckich, i tak się zaczęła ich przyjaźń.

Różewicz mieszkał wówczas przy ulicy Januszowickiej 13. Była to cicha, spokojna uliczka. Jedyny hałas sprawiały tam śmieciarki przyjeżdżające na pobliskie wysypisko. Wtedy Różewicz razem z fotoreporterem Adamem Hawałem poszli na wysypisko. Poeta grzebał w śmieciach i pozował do zdjęć. W tym swoistym happeningu chodziło o to, by pokazać, iż rzeczy wartościowe można odnaleźć wśród odpadów. Potem te sceny wykorzystał poeta w dramacie „Stara kobieta wysiaduje”.

Regularnie spotykali się w Parku Południowym. Degler okrążał staw, wraz ze swoim psem, zgodnie ze wskazówkami zegara. A Różewicz w przeciwnym, co wywoływało konsternację i sprzeciw u psa.

Na stawie była wysepka. Poeta mówił, że chciałby tam zamieszkać, niczym na bezludnej wyspie. Nie lubił tłumów, zgiełku, bezmyślnej gawiedzi.

Tuż po wojnie Różewicz kupił sobie w warszawskim antykwaracie przy Wilczej „Nowe formy w malarstwie” Witkacego. Kiedy po latach przeprowadzał się we Wro-

clawiu z Januszowickiej na Biskupin ze zdziwieniem znalazł tę książkę, bo myślał, że jej nie ma. Było w niej dużo notatek poczynionych przez niego we wczesnych latach. Dużo podobnych anegdot przytaczał prof. Degler, przybliżając w ten sposób „prywatną” sylwetkę poety.

Na spotkaniu byli w przeważającej liczbie starsi, nobliwi ludzie. Młodych jak na lekarstwo. Widocznie wysoka literatura w pojęciu młodzieży jest dla wapniaków. Siedziałem jak zahipnotyzowany.

Potem, już w domu, przypomniałem sobie film z udziałem Wisławy Szymborskiej. Urzeka mnie jej oryginalne poczucie humoru, ironia, dowcip, a jednocześnie skromność i bezpretensjonalność wielkiej poetki, która nie musiała się maskować ani udawać kogoś innego. Miała po prostu klasę. Z przyjemnością jej słuchałem, obserwowałem reakcje na zupełnie codzienne sytuacje. Nie był to film o poetce, ale przede wszystkim o człowieku obdarzonym nietuzinkową wyobraźnią.

Szymborska lubiła szokować swoimi niekonwencjonalnymi zachowaniami, powiedzeniami, reakcjami. To jest mi bardzo bliskie, bo niekiedy zachowuję się podobnie. Niech Pani tylko nie myśli, że się porównuję i w ten sposób chcę się dowartościować. Jest mi tylko przyjemnie, że nie jestem odosobniony. Lubię niekiedy szokować i sprawdzać poczucie humoru u innych, choć w zasadzie nie powinienem się wiele po ludziach spodziewać. Kiedyś chciałem sprawdzić poziom inteligencji ekspedientki w sklepie ze słodyczkami. Zamiast o raczki poprosiłem o piętnaście deka nowotworków. Baba za nic nie mogła skumać, o co mi chodzi. Szkoda, że Pani nie widziała wzroku, jakim mnie obrzuciła.

W sklepie mięsnym zobaczyłem raz wieprzowe ogony. Zacząłem się dopytywać, czy są same dziurki. W zasadzie też bez zrozumienia. Obserwuję też reakcję kolejki. Stoją posępni, „straszni mieszczanie”. Naród złożony ze smutasów. Staliśmy w sklepie, Ania pomyliła się i powiedziała, zamiast wyjmij reklamówkę, wyjmij parówkę. Na to ja gromko: „tak przy ludziach?”

Tylko raz jeden sprzedawczyni się roześmiała. Widząc jak się niezdarnie pakuje, przypomniała: „niech pan nie zapomni jajek”. Na to ja z całą powagą: „o jajach nigdy nie zapominałem”.

Niekiedy same nazwy artykułów prowokują do skojarzeń. Kiedyś w sklepie z kosmetykami zauważyłem szampon „Stodkie cappuccino”. Nie mogłem się powstrzymać, by na cały głos nie powiedzieć do Ani: „kup mi preparat do mycia słodkiego kapucyna”. Ciekawe, czy Pani miałaby ochotę chodzić ze mną do sklepów?

Aby uciec od rzeczywistości posłuchałem sobie piosenek w wykonaniu Mieczysława Fogga. Zawsze mnie wzruszały, a sam wykonawca urzekał dystynkcją, elegancją, wielką kulturą osobistą, która wprost z niego emanowała. Był dla mnie kwintesencją prawdziwego warszawiaka, warszawskiej atmosfery. Tej dawnej, kiedy nie było jeszcze różnych mordorów, lemingów, krawacików, korpusiów, słoików; tej, którą zamieszkiwali normalni ludzie, a nie jakieś homunkulusy wy-

hodowane na modłę amerykańską. Ale może jestem wstecznikiem, świat się zmienia, więc pora go opuścić?

Opuzczam go poprzez lektury. Z wielkim zainteresowaniem czytałem biografię Wyspiańskiego napisaną przez Monikę Śliwińską. Wchodziłem tam w świat krakowski przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku; w ówczesne środowisko artystyczne, a także mieszczańskie oraz ich ówczesną obyczajowość. Świetna książka, dobrze udokumentowana, przedstawiająca fakty z życia Wyspiańskiego, jego dramaty twórcze i życiowe.

Zaraz potem przeniósłem się do epoki tuwimowskiej za sprawą książki Mariusza Urbanka „Tuwim. Wylękniony bluźnierca”. Mariusz Urbanek jest wybitnym biografem. Rzecz o Tuwimie jest pasjonująca. W końcu sama postać poety była niesłychanie barwna. Wielki poeta, autor znakomitych tekstów kabaretowych, piosenek wykonywanych do dziś... Zawsze mnie interesowało dwudziestolecie międzywojenne, epoka skamandrytów, zresztą życie literackie tamtych czasów w szerokim pojęciu. Od książki Urbanka nie mogłem się oderwać. Jestem przekonany, że Pani podzieliłaby moje zdanie. Tym goręcej obie pozycje polecam.

Czytając książki Śliwińskiej i Urbanka utwierdzałem się w przekonaniu o istnieniu daleko idących analogii pomiędzy dawnym życiem artystycznym i dzisiejszym. Te same zawiści, podobne intrzygi, bezczelność grafomanów pchających się na pierwsze miejsca, wykorzystywanie innych, aby wjechać na ich plecach do panteonu... Jednak trzeba przyznać, że wtedy działo się to wszystko z większą klasą. Tamci pomimo wszystko byli artystycznymi „włamywaczami-dżentelmenami”, którzy różnili się od chmary dzisiejszych drobnych złodziejasków włączających na tak zwany rympał; różnili się przede wszystkim klasą. Ale trudno. Świata nie zmienimy, a tak zwana „ludzkość” coraz bardziej się degraduje. Może to i z drugiej strony dobrze? Jest przeciwko czemu protestować. A poza tym chyba nigdy nie było tak dobrze, ażeby wszystko było idealne. Człowiek to jednak straszne zwierzę, dla którego szkoda zabiegać o jakiegokolwiek zbawienie.

Ostatnio brałem udział w pewnej hucpiarskiej parodii promocyjnego spotkania literackiego. Szkoda o tym pisać. To było „ludu zmartwienie”. Taki przyszedł mi do głowy kalambur – szarada. Myślę, że Pani rozszyfruje, co to znaczy, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Mamy kwiecień, będzie prima aprilis, czas wesołości, potem radosnych Świąt. Trwajmy więc raczej w optymistycznych, wiosennych nadziejach, czego Pani serdecznie życzę –

Stefan Jurkowski

